

## Jacek Kloczkowski: "Święto" Króla

Jedną z typowych przywar części polskich „elit” opiniotwórczych jest ich niepoohamowana skłonność, aby mówić Polakom, co i jak powinni świętować - pisze w Dzienniku Polskim Jacek Kloczkowski



Jedną z typowych przywar części polskich „elit” opiniotwórczych jest ich niepoohamowana skłonność, aby mówić Polakom, co i jak powinni świętować. Oczywiście dla ich własnego, Polaków, dobra i w imię ich własnej, Polaków, demokracji. Co i rusz można się natknąć na przejawy tej skłonności. Jednym z ostatnich jest felieton Marcina Króla („Wprost”, nr 52/2010), w którym m.in. ogłasza, że „Polacy są niesłuchanie i przesadnie uwrażliwieni na godność narodową, ale kompletnie nie potrafią być dumni ze swoich osiągnięć”. Koronnym tego dowodem ma być „brak szacunku dla rocznicy 4 czerwca, która powinna się stać świętem narodowym (a nie 11 listopada wzięty z innej epoki), a jest przedmiotem idiotycznych sporów”.

**„Idiotyczne” zatem racjonalne**

„Idiotyczność” sporów polega zapewne na tym, że wielu Polaków interpretuje to, co wydarzyło się 4 czerwca inaczej niż prof. Król, a zdaniem Króla tylko jego interpretacja jest dopuszczalna. Czy aby na pewno? Akurat wydarzenia 4 czerwca (a raczej ich kontekst i skutki) doskonale się nadają na przedmiot długich sporów – merytorycznych, ale niewolnych od emocji, skoro ich ocena nie jest bynajmniej taka jednoznaczna. Na pewno łatwiej byłoby bowiem świętować prawdziwe – wolne – wybory. Trudno natomiast o entuzjazm gdy 65% mandatów wyłączono z demokracji, i to dla tych, przeciwko którym Polacy 4 czerwca gremialnie zagłosowali. I nic tu nie zmienia fakt, że ledwie po czterech latach – tym razem już w wolnych wyborach – pozwolili im powrócić do władzy w całkowicie legitymizowany sposób. Namiastka demokracji – chociaż relatywnie stanowiła duży postęp wobec jej całkowitego braku przez blisko półwiecze – pozostanie namiastką i dlatego trudno wymagać jej bezrefleksyjnej apologii. A przecież nie sama liczba niedemokratycznie obsadzonych miejsc w Sejmie stanowi tu największy problem, a praktyczne skutki obranej drogi od PRL do III RP.

Wobec takich wynurzeń jak te Króla, trzeba przypominać oczywistości. Po wyborach 4 czerwca jeszcze przez wiele miesięcy kluczowymi resortami rządu powstającej III RP władali najwyżsi rangą funkcjonariusze państwa komunistycznego, odpowiedzialni za jego pełne podporządkowanie Związkowi Sowieckiemu i represje, jakie spotykały Polaków niepoddających się ich dyktatowi. Dzierżyli swe urzędy nie po to, żeby ze szlachetnych pobudek stopniowo przekazywać władzę demokratycznie legitymizowanym następcom, ale by zadbać, aby zmiana polityczna lat 1989/1990 nie naruszała interesów ich obozu politycznego. Wtedy to niszczone ślady zbrodniczej działalności reżimu i kolaboracji z nim. Wtedy również

postkomunistyczna nomenklatura opanowała znaczną część rodzącego się –względnie wolnego – rynku, żerując na majątku państwa i oplatając je siecią patologicznych, często kryminalnych powiązań towarzysko-polityczno-biznesowych, których nigdy później nie udało się rozbić. Także w tych pierwszych stadiach III RP „elity” solidarnościowe postanowiły pokazać „masom”, gdzie ich miejsce, przepychając wbrew oczywistej woli wyborców z 1989 roku tzw. listę krajową, a potem przyczyniając się do wyboru komunistycznego dyktatora na prezydenta RP. Czy naprawdę rocznicę 4 czerwca da się „wyjąć” z tego kontekstu i uznać za niepodlegającą dyskusjom? Można się oczywiście spierać, czy podczas Okrągłego Stołu dałoby się wynegocjować więcej i czy w pierwszych latach III RP zerwanie z PRL mogło być radykalniejsze. Ale jakkolwiek byśmy odpowiedzieli na te zasadne pytania, 4 czerwca nie nadaje się na radosne, obchodzone bez zastrzeżeń święto narodowe.

### **„Mainstream” to nie wszystko**

Napomnienia Polaków autorstwa Marcina Króla nie wykraczają poza standardowe w „mainstreamie” połajanki pod adresem tych wszystkich, którzy nie chcą podzielać „mainstreamowych” poglądów. Swoistym *novum* jest natomiast kuriozalne hierarchizowanie rocznic. Oto bowiem Król pisze, że to 4 czerwca powinien być świętem narodowym a nie 11 listopada – cytat – „wzięty z innej epoki”. Właściwie nie bardzo wiadomo o co chodzi – co z tym 11 listopada jest nie tak, że jego szczególne świętowanie najwyraźniej staje się w oczach profesora nie na miejscu. Choć właściwie w przypadku „mainstreamu”, którego prof. Król jest przecież prominentnym reprezentantem, gdy nie wiadomo o co chodzi, to zwykle chodzi o różne fobie a przynajmniej intelektualne ekstrawagancje, a z nimi nie sposób racjonalnie dyskutować. Nawiasem

mówiąc, ciekawe czy przy takiej interpretacji, jaka spotkała 11 listopada, jako święto powinien ostać się 3 maja – z epoki jeszcze bardziej „innej” niż wydarzenia 1918 roku?

Król snuje dywagacje o świętach narodowych przy okazji rozważań o tym, czy w Polsce istnieją partie konserwatywne. Według niego jest jedna, choć zmarginalizowana – skupiona wokół Marka Jurka. Inne nie mieszczą się w Króla rozumieniu konserwatyzmu. Sprawa stosunku do rocznic jest jednak dobrym przykładem, na ile jego kategorie byłyby przydatne dla kogoś, kto chciałby wyrobić sobie pogląd na temat tego, jaki powinien być współczesny polski konserwatyzm. Nie trzeba bowiem wielkich konstrukcji intelektualnych i podstępnych manipulacji retorycznych, żeby uznać, iż akurat konserwatystom bliższa powinna być rocznica 11 listopada, znacznie bardziej nadająca się na symbol tradycji narodowej i państwowej (przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie można byłoby wobec niej sformułować) niż dzień, w którym, owszem, Polacy gremialnie zagłosowali przeciwko PZPR, ale cały mechanizm ówczesnej zmiany politycznej sprowadzał się do tego, żeby nie naruszyć żadnych istotnych interesów rodem z PRL, które to interesy, podobnie jak cały ówczesny porządek, z konserwatyzmem jako żywo nic wspólnego nie miały, a nawet stanowiły całkowite zaprzeczenie jego zasad. Konserwatysta przyznaje więc, że 4 czerwca 1989 roku wydarzyło się coś ważnego, dostrzeże pewne pozytywy, bo jednak był to znaczący krok ku zerwaniu z PRL. Ale właśnie, jedynie krok, i to dokonany w nader kontrowersyjnych okolicznościach i z równie kontrowersyjnymi konsekwencjami.

### **Problem tkwi w realiach**

Marcin Król zrobił niegdyś niemało dla popularyzacji wiedzy o dziewiętnastowiecznych konserwatystach polskich, zwłaszcza Stańczykach (aczkolwiek z jego interpretacjami można zasadnie polemizować). Nie czyni to jednak z niego wyroczni władnej ogłaszać wszem i wobec, czym jest współczesny polski konserwatyzm, a tym bardziej, co i jak powinniśmy świętować – a taki w tonie jest jego felieton z „Wprost”. Zresztą jego napomnienia na nikim rozsądnym zbytniego wrażenia chyba nie robią. Tak więc, gdy pisze: „Naród, który nie potrafi sam cenić swoich osiągnięć, jest głupi” – to właściwie nie należałoby się tym przejmować.

Niestety, poglądy Króla nie są odosobnione. Wpisują się one w intelektualną atmosferę ostatnich paru lat, która stanowi – choć ma inne formy wyrazu – powielenie najgorszych cech charakteryzujących debatę publiczną lat 90-tych. Znowu są oświeceni i ciemnogród, znowu „mainstream” chce decydować, jakie poglądy można swobodnie głosić w przestrzeni publicznej, a jakie należy z niej wykluczyć. Niestety, w politycznych realiach, w których komunistyczny dyktator jest honorowany zaproszeniami na Radę Bezpieczeństwa Narodowego, trudno uznawać, że w tych sporach górę bierze zdrowy rozsądek.

**Tekst ukazał się w „Dzienniku Polskim”, 18 stycznia 2011 r.**

Jacek Kloczkowski – politolog i publicysta, wiceprezes Ośrodka Myśli Politycznej. Wydał ostatnio „Czasy grubej przesady. Szkice o polityce polskiej 2005-2010”.

Blog OMP